

ILUSTROWANY

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Wychodzi w każdą niedzielę
w
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie

Rocznik I.

4. kwietnia 1915

Nr. 17.

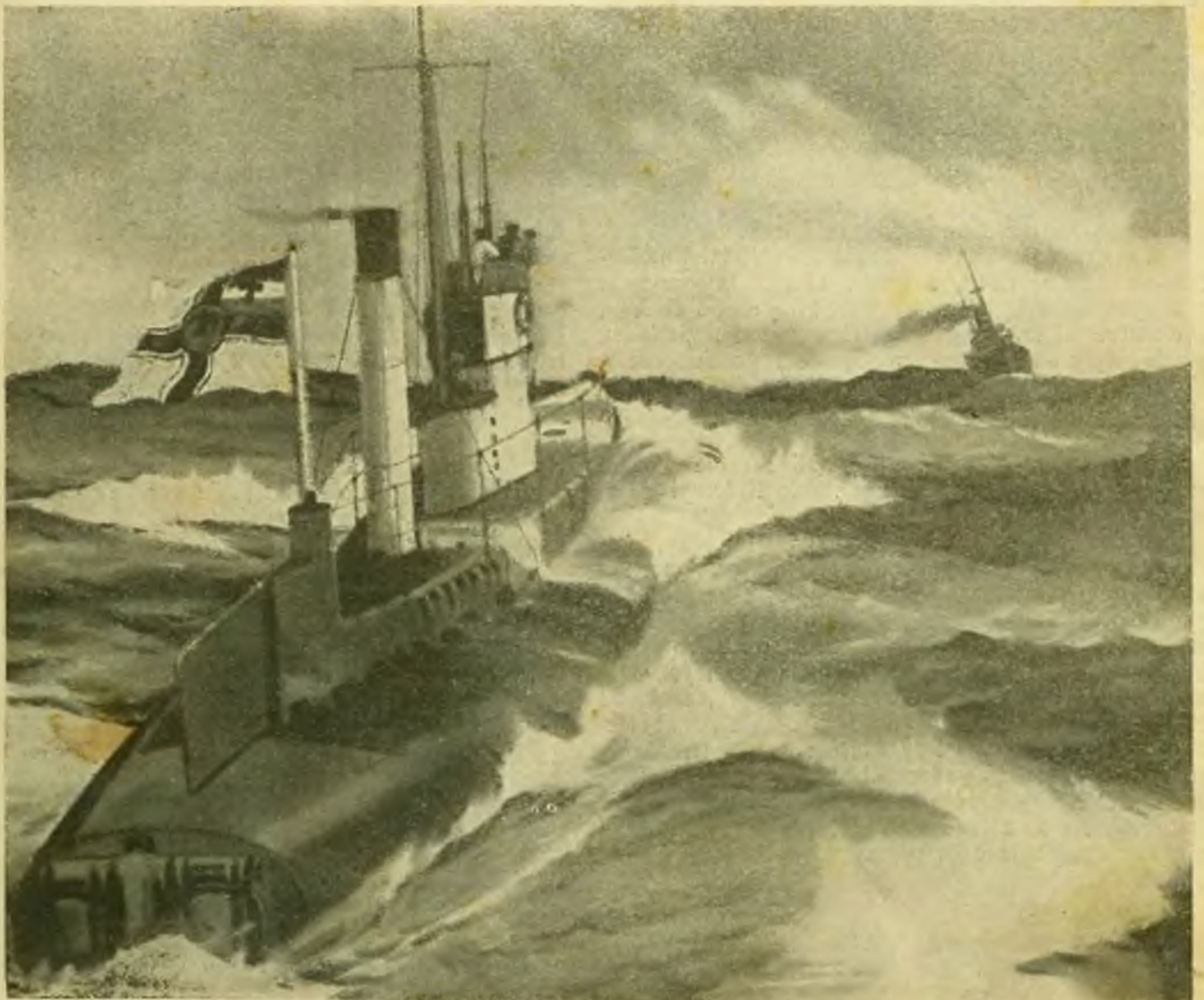
Redakcja, administracja i ekspedycja
Morawska Ostrawa, ul. Johannowego 5.
Tel. Nr. 163.
Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy.

Prenumerata kwartalna . . K 2:50

Prenumerata półroczna . . K 5—

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,
 $\frac{1}{2}$ strony — 50 kor., $\frac{1}{4}$ strony — 25 kor.,
 $\frac{1}{8}$ strony — 12:50 h. i t. d. Przy kilkakro-
tnem zamieszczeniu wysokie rabaty.



Pościg niemieckiej łodzi podwodnej za handlowym parowcem angielskim.

Z tygodnia.

Tydzień ubiegły przeżyliśmy pod wrażeniem wielkiej bitwy w Karpatach. Bitwy, która może się stać decydującą dla całej kampanii, a której wynik do tej pory nie jest wiadomym, ponieważ toczy się ona nadal z niezwykłą zaciętością w niektórych odcinkach.

Z niemięszą jednak zaciekłością starają się Rosyanie wyprostować swe prawe skrzydło, załamane po drugiej klęsce na błotach mazurskich.

Na obu więc skrzydłach olbrzymiego frontu bojowego na wschodzie między Niemnem a Prutem — gwałtowne walki toczą się dalej, podczas gdy w centrum tego frontu względny panuje spokój. Na obu skrzydłach armie niemieckie i austriackie odpierają codziennie gwałtowne ataki rosyjskie, lecz ataki te nie ustają, mimo olbrzymich strat, jakie przy ich wykonywaniu ponoszą szturmujące kolumny rosyjskie. Do dnia wczorajszego ta niesłychanie uporczywa ofensywa rosyjska jeszcze nie była złamana, lecz wobec strat, wynoszących dziesiątki tysięcy, długo już chyba kontynuowaną być nie może. Zdaje się też, że na rozstrzygnięcie tych dwóch olbrzymich bitew skrzydłowych długo już nie będzie trzeba czekać.

Gwałtownie atakowali Rosyanie, zwłaszcza na południe od przełęczy Dukielskiej, starając się wtargnąć w głąb Węgier. Wszelkie ich jednak ataki w tej części zostały szczęśliwie odparte i jest nadzieja, że wkrótce zostaną oni wyrzuceni poza łańcuch Karpat. Udało im się w tym miejscu zalać pas ziemi węgierskiej szeroki na 25 klm.

Także w innych odcinkach frontu karpackiego toczyły się zacięte walki, lecz z tego faktu, iż zdłżano tam wziąć kilka tysięcy jeńców na ezy wnosić, że sytuacja ogólna przedstawia się tam niezłe.

Tymczasem grupa armii austro-węgierskiej na Bukowinie odnosi nowe sukcesy. Grupa ta oczyściła z Rosyan już całą północną bukowinę aż po Dniestr, a niektóre jej kolumny w pościgu za nieprzyjacielem przekroczyły nawet (według pogłosek) granicę rosyjską na zachód od Nowosilicy. Parokrotny atak Moskali w okolicy Zaleszczyk odparto, wyrzucając ich poza Dniestr.

Chwiła, w której ta grupa armii znacznie wywierac silniejszy nacisk na sytuację koło Kołomyi i Nadwórnej, jest zapewne bliska.

Upadek Przemyśla nie wpłynął do tej pory, zgodnie z zapowiedzią komunikatu austriackiego, na ogólne położenie, wywołał jedynie wątpliwie uzasadnioną panikę wśród mieszkańców Krakowa i okolic, którzy znowu tłumnie poczynają uchodzić. Armia rosyjska, która została uwolniona z blokowania Przemyśla uda się prawdopodobnie w całości w Karpaty, nie pod Kraków, ponieważ według naszego zdania punkt ciężkości obecnej sytuacji leży właśnie w tym terenie bitwy i Rosyanie z pewnością będą się starać przeważać tu szalę. Czy im się jednak to uda, jest bardzo wątpliwem, a to z tego względu, że Austria na ową niespodziankę była dobrze przygotowaną i zaskoczyć się nie da.

Na przeciwnym, północnym skrzydle frontu — wzdłuż Narwi i Bobru wypadki wojenne rozwijały się podobnie, jak na froncie karpackim. Operujące tam armie niemieckie odparły liczne ataki rosyjskie.

O ostrzeliwaniu Osowca niema od kilku dni ani urzędowych, ani prywatnych relacji. „Czas“ pisze o tem: „Dowiadujemy się prywatnie, że w odpowiedzi na najazd rosyjski na Kłajpedę lotnicy niemieccy urządzili wyprawę ponad twierdzę Kowno i Grodno i że w Grodnie rzucili kilkanaście bomb na rynek miasta, gdzie znaczne wyrządziły szkody. Równocześnie podwyższono kontrybucję, nałożoną na Suwałki do 100.000 marek i aż do jej uiszczenia wzięto jako zakładników kilkunastu wybitnych obywateli tego miasta“. Donosi o tem także „Nordd. Allg. Ztg.“

Przypominamy sobie odpowiedź komendy niemieckiej w sprawie owych „trzech miejscowości rosyjskich spalonych w zamian za jedną niemiecką“ — odpowiedź brzmiała wówczas, że „Nieprzyjacielem jest Rosya — a nie ludność polska, litewska ani żydowska“, wobec tego represye te miały stosować się tylko do Rosyan.

Lotnicy niemieccy rzucali bomby w odwecie na Grodno. Grodno jest zamieszkane przez ludność polską...

Na Suwałki nałożono kontrybucję 100.000 Mk. Kontrybucję płacą wszyscy mieszkańcy solidarnie. W Suwałkach mieszkają również Polacy...

Na tureckiej widowni boju panuje w ogólności spokój. Pod Dardanelami nie zaszło również nic nowego — widocznie spostrzegli admirałowie francuscy i angielscy, iż Dardanele nie są przecież orzechem tak łatwym do zgryzienia. Odbyli oni podobno specjalną długą naradę, na której uchwalili użyć do bombardowania statków o działach dalekonośnych, aby nie być narażonym na pociski tureckie. Niewiadomo jednak, czy i to zdoła im cokolwiek pomódz.

We Francji ataki francuskie poczynają stawać się coraz częstszymi i gwałtowniejszemi, jak do tej jednak pory bez znaczniejszych sukcesów.

Prosimy wszystkich naszych czytelników oraz szczególnie pp. Legionistów o nadsyłanie nam rozmaitych okolicznościowych zdjęć fotograficznych do druku.

Wszystkim naszym Czytelnikom zasyłamy z okazji świąt Wielkiej Nocy gorące życzenia, aby święto to stało się dla nas wszystkich Polaków długo oczekiwanem świętem — Zmartwychwstania Wolności.

Redakcja.

Zwyczaje wielkanocne.

Jedne i te same zwyczaje, zachowywane przez lud w rozmaitych chwilach roku, szczególnie poczynając od grudnia do lipca, każą się domyślać, że kiedyś w tym czasie istniało jakieś jedno, niezmiernie ważne święto. Z biegiem wieków, ze zmianą warunków życia społeczeństw, rozprysło się ono na eżeci i cząsteczki, które, przytuliwszy się do świąt ustanowionych przez Kościół chrześcijański, wytworzyły cały szereg obrzędów i przeświadczeń zimowych, wiosennych i letnich.

Wielka Noc, było to najniezawodniej święto wiosenne. Dowodzą tego: historia i do dziś dnia utrzymywane między ludem wierzenia i praktyki, w których słońce i odrodzenie się natury, główne odgrywają rolę.

Wpatrzywszy się uważniej w zwyczaje przywiązane do trzech dni ostatnich wielkiego tygodnia i do dwóch dni świąt wielkanocnych i porównawszy niektóre z nich ze zwyczajami podczas świąt Bożego Narodzenia, Nowego Roku, wiosennych i sobótki, spostrzeżemy wiele cech wspólnych. Sądzić zatem możemy, że i święta wielkanocne przedstawiają nie mały okrucieństwo owego święta wiosennego, zaginionego w pomroce wieków.

Wielki tydzień, zapewne pod wpływem smutnego wypadku w dziejach chrześcijaństwa, śmierci Chrystusa, uważany jest prawie powszechnie za nieszczęśliwy. Nie należy w nim zaczynać żadnej roboty, mieszkania lub służby zmieniać. Dzieci w ciągu tego tygodnia zrodzone, będą nieszczęśliwe, w Czechach utrzymują nawet, że skończyć muszą śmiercią samobójczą, przez powieszenie.

W niektórych jednak miejscowościach, Wielki czwartek stanowi wyjątek. W Prusach wschodnich, Niemczech północnych, Turynii, Westfalii i Bawarii, uważany jest za dzień przynoszący szczęście; szczególnie wierzą, że wszelka roślina w nim posadzona lub zasiana pomyslnie wschodzi. W Niemczech, Wielki czwartek zowią „grüner Donnerstag“, w Holandii zaś czwartkiem białym „witte donderstag“. Ostatnią nazwę spotykamy i w niektórych okolicach Francji; powstała ona podobno z przyczyny, że w dniu tym rozdaje się ubogim bułki białe.

W Anglii nazywają go „Monody Thursday“, nazwę wyprowadzają od „Dies mandati“ — dzień, w którym Zbawiciel zalecał wzajemną miłość i umywał nogi apostołom.

Na pamiątkę, rozdają dwunastu sierotom po szynku i bulce chleba.

Umywanie nóg starcom odbywało się dawniej z wielką uroczystością. W Warszawie zdarzyło się, że Arcybiskup Naruszewicz umywał nogi 12 starcom, z których każdy liczył sobie 100 lat z górą, tak, że wszyscy przeszło 1300 lat mieli.

Dzień Wielko-piątkowy, przeznaczony jest dla rozpamiętywania męki Chrystusowej. U Kaszubów zowią go „Płacz-Bóg“. Nim dzieci powstaną z łóżek, biją je, mówiąc: „płaczeta, dziś płacz-boga!“ W ziemi Chełmińskiej ten sam dzień nosi nazwę „Boże-rany“.

W Anglii, Wielki piątek nazywa się „Good Friday“ w Holandii „Gwede vrydag“ dobry piątek. Nazwa ta utrzymała się w Niemczech i Danii. W niektórych miastach angielskich, także w Londynie, jedzą w Wielki piątek pieczywo z wyciśniętym krzyżem, co zowią „Groos bunns“. Brjant wywodzi wyraz ten od greckiego „boun“, chleb, który ofiarowany bywał bogom;



Austryacki rów strzelecki w jednej z polskich wiosek.

na nim, podług mniemania Hesichiusa, był naechowany znak w kształcie rogów. U nas, w Sandomierskiem n. p., na Nowy rok pieką kobiety ciasta w kształcie rogów tak zwane szczodraki i rozdają je chłopcom, chodzącym „po szczodrakach“. Powszechnym był u nas niegdyś zwyczaj topienia Judasza; w Bawarii go palą. W Warszawie, zachowywano go jeszcze w końcu 18. wieku. Chłopcy miejscy przystrajali lalkę za Judasza, wlekli ją po ulicach, targali, a w końcu, zaniósłszy na wieżę kościoła Panny Maryi, zrzucali i topili w Wisłę. Przypomina to starożytny zwyczaj wiosenny topienia śmierci w postaci baby starej.

W Wielki piątek w Belgii, żadna kobieta nie waży się prać bielizny. Oto, co nam opowiada legenda miejscowa: Przechodziła raz Matka Boska w Wielki piątek, koło kobiet piorących bieliznę. Spragniona i znużona drogą, prosiła o trochę wody do picia. Złe pracunki obryzgały ją jednak mydlinami i wysłały w dalszą drogę. Zasmucona, wstąpiła następnie do chaty, w której kobieta chleb piekła, prosząc jej, aby pozwoliła szaty wysuszyć przy ogniu, na co otrzymała uprzejme przyzwolenie. Od tej pory błogosławione w dniu tym wszelkie pieczywo, a przekłete pranie. W Dinant trwa nawet przysłowie: „Maudite la femme qui cuit.“

Wielka sobota jest ostatnim dniem postu. Uroczyście i z weselem żegnana też była przed laty. Grzebano w dniu tym żur. Zawieszano zwykle garnek z żurem



Niemiecki tren pod eskortą austriackich dragonów w Karpatach.

w siatce na plecach którego z niedoświadczonych, a gdy ten szedł, namówiony aby zaniósł żur do grobu, idący za nim rozbijał garnek łopata, a zawartość oblawała nowiciusza.

Noc z Wielkiej soboty na pierwsze święto, ma znaczenie mistyczne. Spotykamy się w niej ze zwyczajami i przesadami bardzo zbliżonemi do święto-jańskich. W wielu okolicach Niemiec, zapalają ognie wielkanocne. Wiadomo, że stos sobótkowy zapalano ogniem, wydobytym za pomocą tarcia kawałka drzewa o drzewo, lub uderzaniem stali o krzemień; tak samo rozniecają i ogień wielkanocny. Stosy układają z połan, słomy i starych miotel, a zapalają je podczas pierwszych dzwónów wieczornych. Chłopcy dobywają palące się głównie i z niemi biegają po polach i grobach. W Westfalii, Oldenburgu, przytwierdzają na jodłach naczynia ze smolą i zapalają, tańcząc i skacząc dookoła. Przedmioty wydobyte z tych ogni chowają w domach, lub wtykają w zagony, jako zabezpieczenie przed burzami i gradem. Coś podobnego spotykamy i u nas. Mianowicie, jest zwyczaj w kościele katolickim, święcić ogień w Wielką sobotę; stos najczęściej robią z połamanych krzyżów grobowych, lub z tarniny. Otóż lud nasz chowa skrzętnie węgle, głowienki i gwoździe, i posiłkuje się niemi w swych praktykach tajemnych.

Słońce wita dzień Zmartwychpowstania Zbawiciela trzema podskokami, — tak mówią w Islandyi. Ta sama wiara panuje w całych Niemczech. Promienie słoneczne rozpędzają siłę czarodziejską, która nadaje wodzie tej nocy własność odmładzania i gubienia chorób u ludzi.

Dla tego, w pewnych okolicach Bawaryi, Harzu i Czech, kąpią się przed wschodem słońca, a w Belgii piją ją lub zachowują, jako talizman nieulegający zepsuciu.

Wielkanoc, u wszystkich narodów teutońskiego pochodzenia, nazwę wzięła od bogini wiosny Ostary, na część której palono w tym czasie ognie. Nazwa ta przekradła się do Kaszubów, Wielkanoc bowiem zowią „Iastry” od niemieckiego wyrazu Ostern.

Cechą świąt wielkanocnych u Słowian, jest święcone. Nie znają go w najbardziej nawet katolickich krajach jak n. p. w Hiszpanii i we Włoszech. U nas, tradycyjna „haba, kiełbasa i jajko, muszą się znaleźć na stole najuboższego kniutka.

Jedno jajko wielkanocne było zapewne powszechnie znanem. Uplastyczniało one postać słońca, było

godłem płodności i wszelkiego początku. Znałe są prawie wszystkim kraszarki, pisanki i malowanki, na których lud pomieścił całą fantazyę, w ornamentyce swojej, częścią tradycją wieków przekazaną, częścią na nowych wzorach kształconą. W Belgii i w całych Niemczech, malowanie i zlocenie jaj sięga bardzo odległych czasów.

Znanym jest powszechny zwyczaj w drugie święto wielkanocne oblewania się wodą. Należy on również do bardzo starożytnych czasów. W Indyach, w czasie świąt wiosennych Holi albo Huli, lud oblewa się wodą z siemakawek. Dodam tu jeden jeszcze szczegół: że w Belgii był dawniej zwyczaj w poniedziałek świąteczny również polewania, lecz w bardziej brutalnej postaci; sprawiała je bowiem żony mężom, po prostu pięścią po plecach, bez prawa z ich strony obrony. Ci zaś, prawnem odwetu, robili to samo z żonami we wtorek.

Giuseppe Garibaldi

urodził się w r. 1807.

Syn niebogatą rodziną żeglarskiej, zaciągnął się bardzo młodo do marynarki sardyńskiej, gdzie wkrótce odznaczył się wielką odwagą i wytrwałością na trudy, a zarazem wielką tkliwością uczucia, głęboką litością nad każdym cierpiącym, gorącym współczuciem dla biedy ludzkiej i ztąd, pozyskał sobie tę żywą sympatię współtowarzyszów, która potem przez życie całe wiązała do niego tłumy. Namiętna miłość włoskiej ojczyzny była drugą cechą młodzieńca: gdy w 1831 r. prąd wypadków europejskich tknął elektrycznie Włochy, on przystępuje do działań Mazziniego, i w 1834 r. skazany zaocznie na śmierć, musi uchodzić do Francji; przebywa czas jakiś w Marsylii, ale dusza ta ognista nie może wytrwać w takim życiu, więc rzuca Europę. Najpierw zostaje czas jakiś oficerem marynarki w służbie Beja Tunetańskiego, następnie w 1836 roku puszca się do Ameryki Południowej, gdzie wrze walka prowincji wyzwalających się zpod władzy Brazylijskiego Państwa; oddaje się na usługi Rzeczypospolitej Uruguayskiej, i obejmuje dowództwo nad jej armią. Choć przez dwunastoletnie przebywanie w Ameryce zżył się niejako z tą ziemią gościnną, choć miał los zapewniony przez pensyę, pobieraną od Rządu Uruguayskiego za waleczne swe zasługi, a przy sercu jego była kobieta namiętnie kochana, Hiszpanka Anita, z którą połączył się w La Plata, trzymając on słuch wy-



teżony na echo zalatujące ze stron ojczystych i w 1847 roku udaje się do nuncyusa papieżkiego w Rio Janeiro, ofiarując usługi swoje Piusowi IX, w koło którego skupiały się wtedy nadzieje Włoch. Choć odpowiedź nie przychodzi, on puszcza się na morze w kwietniu 1848 r., i przybywszy rzuca się natychmiast w wir wojenny. Pod zwierzchnictwem Karola Alberta formuje w Medyolanie oddział ochotników;

w dniu 9 sierpnia bije się z Austryakami jak lew: ale następuje klęska po klęsce, Medyolan kapituluje i on musi cofać się do Szwajcaryi. Lecz oto w 1849 roku Rzym wydaje hasło bojowe, i on tam śpieszy, walczy z francuzami, którzy oblegają Wieczne Miasto, a gdy jest zmuszony uleść znowu, przerzuca się bohatercko w Neapolitańskie. W lesie pod Równą towarzysząca mu wszędzie Anita umiera na jego rękę, a on przedarłszy się nareszcie do Piemontu, idzie po raz drugi w świat, bo i teraz znowu „szczęścia nie znalazł w ojczyźnie“.

Trzy lata przebywał teraz w Ameryce, i on otoczony uż świetną aureolą wielkiego wojownika, on, który prowadził za sobą hufce walecznych, pracuje w mydlarni, potem udaje się do Chin i tak pcha przed sobą Syzyfowy kamień żywota, aż, zapracowawszy grosz pewien, zwraca się do Rządu Piemontskiego o pozwolenie powrotu do Włoch. Wraca w 1854 r., ale osiada na samotnej, skalistej wysepce, na Kaprerze, gdzie zarządza posiadłość i oddaje się spokojnemu, życiu wiejskiemu, chowając troje dzieci, które mu zostawiła Anita: dwóch synów: Menotti, Ricciotti i córkę Teresitę. Ale serce jego czeka tylko i gdy następuje wojna z Austryą, on natychmiast tam jest; jako generał sardyński, staje znowu na czele legionu ochotników; pod Varese i San-Fermo odnosi świetne zwycięstwa, marzy o wielkich tryumfach Włoch, widzi je zjednoczone i potężne, gdy naraz pokój pod Villafranca kładzie okrutny kres tym nadziejom. Garibaldi przecież chce walczyć bez Francji, a choćby przeciw Francji, iść przebojem na państwo papieżkie; oddała się na Kaprerę, al już teraz jest zdecydowany i rzuca rękawicę losowi. Na czele sławnego legionu: „Tysiąc“ wybłyскуje też wkrótce w Sycylii; w czerwonej swej koszuli i kalabryjskim wielkim kapeluszu, skupia w około siebie wszystko, co czuje gorąco, i obejmuje



Z Karpat.

Widoczki z terenu walki nadesłane nam przez chorążych E. i L. Böhm.

w d. 14. maja 1860 roku w Marsala dyktaturę, d. 27 wkracza do Palermo, d. 21 sierpnia odnosi pod Regia wielkie zwycięstwo nad armią neapolitańską, d. 7 września ląduje pod Neapolem, a po dwudniowej walce, d. 1 i 2 października pod Voltorno, zostaje panem Neapolu.

Burbonowie znikają z historii Włoch, których królem zostaje Wiktor Emanuel a zwycięzca, tryumfator, składa dyktaturę i oddala się na Kaprerę.

Ale wojownik nie mógł wymóżyć na sobie, aby szabla rdzewiała mu w pochwie, gdy świat i ojczyzna jego włoska nie dosięgły ideału marzonej dla nich szczęśliwości: nie zdołał być cierpliwym i przyszły te wypadki smutne, przez które bratnia kula uderzyła go pod Aspromonte. Armia włoska w lecie 1862 r. zagroździła mu drogę do Rzymu, który chciał zdobyć dla Włoch; ranny ciężko w nogę, leczyc się musiał długo. Druga wyprawa na Rzym, organizowana w 1867 roku, a zakończona przegraną dla niego bitwą pod Mentaną sprowadziła na niego czasową niewolę. Poddał się sam wojskom włoskim, i stał się jeńcem. Szczęście wojenne odbiegło go już teraz. Fortuna rozstała się z nim niejako pod Aspromonte i już nie chciała więcej wrócić; bo i we Francji, w r. 1871 której pośpieszył na pomoc w czasie wojny niemieckiej, oręż jego nic nie dokonał.

W 1874 r. został posłem do sejmku, w 1875 wjechał, rzec można, tryumfalnie do Rzymu. Było to 24 stycznia i ludność rzymska przyjmowała go z gorącym zapalem z nieumniejszonym wcale uczuciem. D. 27 udał się do pałacu sejmowego na Kwirynał i tu król wyszedł naprzec w niego, wyciągnął do niego ręce i objął jak przyjaciel przyjaciela. Oczy obydwóch napełniły się łzami, Garibaldi miał czule przycisnąć sobie króla do piersi i skłonić głowę na jego ramię.

Lud zgromadzony przed gmachem parlamentu wydawał namiętne oklaski. Byli to dwaj towarzysze wielkiego dzieła i teraz szczęście przepełniło im tak piersi, że przelało się w łzy.

Z żony Franciszki, pojętej już w późniejszej starości, miał Garibaldi czworo dzieci, z których dwoje umarło: pozostała córeczka Klélia i synek Manliusz, którego imię wymawiał w chwili konania. Z Ricciottim, który się puścił na szalone awantury zerwał ojciec i cała



Naczelný wódz armii rosyjskiej
W. ks. Mikołaj Mikołajewicz.

rodzina; Menolli był człowiekiem miernym, i bohater w chwili ostat. może uczuł żal, że odchodzi ze świata duchem bezpotomny i dla tego chciał może tchnąć tego ducha w najmłodsze swe dziecko: „Manlio“, „Manlio“ wołał umierając. Zmarł 2. czerwca 1882 r. „Jego imię, mówił nad trumną hr. Alfieri, przemawiając od Izby Senatorskiej, zostało zapisane zgłó skami złotymi na dziejowych kartach Włoch“.

Niemiec o Krakowie.

„Wiener Mittags-Ztg.“ zamieszcza korespondencję swego sprawozdawcy wojennego, który w entuzjastycznych wyrazach opisuje Kraków, a szczególnie jego barwne życie kawiarniane.

Opis ten podajemy w dosłownem tłumaczeniu.

W towarzystwie pewnego znajomego oficera-łotnika, siedzę w kawiarni „Explanade“. Jest to elegancki stylowy lokal. Długie, wysokie sale, obite złotawymi parkietami, umiejętnie rozstawione marmurowe stoliki, obok pięknie wykładane fotele. Wszystko tchnie świeżością i czystością. Wspaniała sala tonie w świetle tysiacy elektrycznych lampek.

Elegancka, dystyngowana publiczność wypełnia aż do ostatniego miejsca kawiarnię. W większości to wojskowi; lśni się od uniformów, złotych medali i krzyżów.

Tu grupa oficerów, między niemi bardzo młody pułkownik 40 p. p., ozdobiony krzyżem żelaznym I. i II kl.

Wśród mundurów przebija się szlachetna twarz mieszczanina krakowskiego. Wiele dam, bajecznie pięknych, dumne jak królowe. Powietrze wypełnione dyskretną wonią perfumów. Kelnerzy we frakach, mali pikola stoją na uboczu, nie buszują pomiędzy stolami i stołkami, nie wrywają gościom gazet z rąk, jak to — niestety — jest zwyczajem w jednej zachodnio-europejskiej stolicy. Bo też i publiczność zachowuje się inaczej.

Nie widać tych zaciętrzewionych, hałaśliwych debat, niema „stołów sztabowych“, przy których rozwodzą się politycy kawiarniani. Przeciwnie, wszyscy zachowują się swobodnie lecz elegancko, jak gdyby znajdowali się w salonie towarzyskim. Czy to jest wynikiem lepszego wychowania Polaków? Sądzę że tak.

Rozpoczyna się koncert.

Tam, w dali, na dyskretnem podium umieszczona jest orkiestra, złożona naprawdę z artystów muzyków. Fale wspaniałych melodyj polskich wciskają się w głąb duszy, lśniące radością oczu Polaków, krzyżują się...

Podniosła panuje atmosfera.

Nikt nie myśli, iż jesteśmy w twierdzy, którą nie-

dawno wróg żelaznym ramieniem otoczył, że ten wróg zaledwie o 12 mil oddalony jest od stolicy Piastów i Jagiellonów i że tam właśnie toczy się walka, jakiej historia nie zna. Nikt o tem nawet wspomnąć nie chce... Niestety — ulica przypomina tym szlachetnym Krakowianom wojnę... Ciężkie pociągowe samochody dudnią po bruku, słysząc przeraźliwe trąbki samochodów, przybywających z pola walki. Żołnierze pokryci b'otem bez przerwy przechodzą, żandarmi forteczni z najeżonymi bagnietami pilnują porządku.

W rogu sali siedzi grupa bardzo młodych oficerów. Gładko ogolone ich twarze, zaczerwienione od wiatru i słońca. Piersi wszystkich zdobią wysokie odznaczenia.

Na pierwszy rzut oka poznać, iż są to lotnicy. Nie jeden z nich unosił się daleko nad krajem nieprzyjacielskim, niektórzy przedarli się wśród gradu kul karabinowych i szrapneli do Przemyśla. Tu w tej wspaniałej kawiarni, a raczej w salonie, uspakajają się ich nerwy, lecz ich czas jest ściśle określony i bez przerwy patrzą na zegarek. Jedni znikają — drudzy przychodzą. Niektórzy zjawiają się „prosto z powietrza“ kostyumie lotniczym i w charakterystycznym nakryciu głowy. Są to postaćcy z innego świata: wiedzą też więcej, aniżeli ci przywiązani do ziemi. A tego co spostrzegą nie przynoszą tylko w postaci szkiców i określeń, lecz w wiernych obrazach, tak jak się akcja na ziemi rzeczywiście odbywała. Gdyż obserwator jest zarazem fotografem. Nic nie ukryje się przed sokolim wzrokiem lotnika. Żaden rów, żaden pagórek lub rzeka. Mój towarzysz pokazał mi serię takich zdjęć. Większość przedstawiała powierzchnie talerzykowatych czapek rosyjskich. A ta jest najważniejszym zadaniem lotnika. Jedna fotografia przedstawiała zbitą masę ciał ludzkiego, nad którą unosił się njebieskawy dym. Była to scena po rzuceniu bomby do rowu strzelniczego.

Muzyka gra... W powodzi światła lśnią ordery oficerów i na kształt gwiazd melancholijne oczy Polek.



Francuscy wodzowie
od lewej ku prawej: Generał Castelau, Joffre i Pau.

Rosyjski generał.

Szkolę ukończył z odznaczeniem. Wszystkie jego ówczesne ofensywy budziły ogólny podziw. Bez najmniejszych dla siebie strat zapędzał wroga w najdalsze kąty mapy sztabu generalnego, aż tenże zmęczony pościgiem musiał wreszcie złożyć broń. Na ćwiczeniach zwyciężał również zawsze tak, jak chciał i kiedy chciał.

Nagle przyszła wojna a z nią i pech. Pierwszym pechem jest jego własny: Jeneralissimus. Układa on bowiem zawsze sam plany ataku i to zawsze z takim w dniu, w którym generał jest źle usposobiony albo umówił sobie schadzkę z tancerką. „Jeszcze tego potrzeba“ klnie generał, ale to nic nie pomoże, bo jeneralissimus będzie dopiero jutro w złym humorze, a schadzkę z tancerką miał już wcz. raj.

Drugim z kolei pechem jest jego najbliższy kolega. Na tego nie można się nigdy zdać. Ma on własne poglądy na prowadzenie wojny, które nie mogą pogodzić się z zapatrywaniami naszego generała. Prócz tego osobiście ze sobą nie sympatyzują. Należą do przeciwnych party politycznych, byli protegowani przez dwu ministrów, którzy się również nie znosili. Byli mimo to nadal jeszcze dalszymi przyjaciółmi, bo nie trafiła się sposobność aby się gdzieś wzajemnie „obsadzić“.

Najgorszym jednak pechem jest nieprzyjaciel. Nie można nigdy na niego liczyć. Nie zna się zupełnie jego zamiarów — robi wszystko jak gdyby... a tu nagle następuje atak. Albo taki wypadek: Generał atakuje wściekle, prowadzi wspaniałą ofensywę, zupełnie jak na mapie w szkole, nieprzyjaciel cofa się powoli, ale przecież się cofa — zupełnie jak w szkole. Jene-



Mapka Dardaneli.

rał wysłał już adjutanta na tyły, aby zawiadomić główną komendę o zwycięstwie. Po pewnym czasie na spieniowym koniu wraca adjutant i donosi, że do komendy dostać się nie można, bo wszędzie na tyłach jest nieprzyjaciel, dookoła również — słowem: otoczeni. No i proszę to zrozumieć?! Nieprzyjaciel, który uchodził przestaje urhodzić i poczyną nacierać. A kolega ani myśli przyjść na pomoc, zapewne uśmiecha się złośliwie i zaciera sobie ręce.

Przecież to pech. Wyrażny pech.

Nareszcie udaje się generałowi wyratować to znaczy kilkunastu ludzi zdołało z nim razem przedrzeć się przez pierścień nieprzyjacielski a cały korpus został rozbity i wzięty do niewoli.

Armia tych kilkunastu ludzi jest zbyt szczupłą — dla generała. Zapominając o jego zwycięstwach w szkole, ogólnie poczynają twierdzić: „Ten nic nie umie“ — a przecież to tylko pech.

Przełożony jego jeneralissimus klnie i zwalnia go ze służby, lub też jeżeli jeneralissimus jest wielkim księciem, a więc człowiekiem bardzo eleganckim i wytwornym — to zrywa mu epolety i bije po twarzy po wielko-książęcemu.

A generał myśli sobie: Bah, jeżeli mój jeneralissimus z całą armią nie może zwyciężyć, to jakżeś mam dokonać tego ja — z jednym zaledwie korpusem!?

Drobne wiadomości.

Ze Stanisławowa (wł.). Wiadomą jest rzeczą z dzienników, że Moskale cofnęli się sromotnie ze Stanisławowa, pod zwycięskim naporem naszych wojsk. Wkrótce jednak wracając z przemocą zdołali go ponownie opanować. Przerazona ludność, wiedząc już jak postępują Moskale, uciekała — i przeważnie dotarła do Kołomyi, gdzie znajduje się też 60 procent ludności. Zostali tylko najśmielsi — i ci gorzko przepłacili swoją odwagę. Kiedy Moskale wkroczyli do miasta, — chwycili tego samego dnia sześciu najbardziej poważnych obywateli żydowskich — których na rynku powieszono. Komendant ogłosił następnie w rozkazie, że ludność powinna być wdzięczną, że tylko



Nurek amerykańskiej łodzi podwodnej zakłada minę wodną.

sześciu obywateli powieszono. Jako przyczynę podał — entuzjastyczne zachowanie się ludności w dniu wkroczenia wojsk austriackich i wydanie szpiegów. Rozpoczął się szereg gwałtów, rabunków — których opisy były powtórzeniem jeno zbrodniczych praktyk — wojsk — wyzwalających słowiańszczyznę.

Srodek Francji

Ciekawy fakt przytacza „Frankf. Ztg.” jako przykład „podnoszenia ducha” we Francji. W obiegu znajduje się mianowicie kartka pocztowa z piramidą, którą wzniesiono za panowania Napoleona III w miasteczku Bruère, niedaleko Fontainebleau, na znak, że tam znajduje się „geograficzny punkt środkowy Francji”. Po utracie Alzacji i Lotaryngii oczywiście ten punkt środkowy przesunął się zupełnie, mimo to piramida pozostała na rynku Bruère. Kwestyę środka Francji geografowie i matematycy francuscy pozostawili jakby rozmyślnie na uboczu. Teraz dopiero pojawiło się przypomnienia piramidy w Bruère i kartki pocztowe roznoszą je po kraju, aby „podnosić ducha”.

Zarządzenia wyjątkowe w Zakopanem. W sobotę o 7 wieczorem zostały zamknięte wszystkie lokale publiczne, restauracje oraz cukiernie Przanow-



Port w Konstantynopolu.

W tyle pancernik turecki „Midilli”, który odznaczył się w walkach na Czarnym morzu

skiego i Dzikiewicza. — Wiadomość ta dostała się do teatru, wywołując silne zdenerwowanie, spotęgowane oznajmieniem p. Szkudelskiego imieniem dyrektora teatru, że przedstawienia z decyzji władzy wyższej odbywać się będą nadal o godzinie 5-cj.

W niedzielę — ukazały się afisze motywujące postępowanie starostwa — ogłaszając zamknięcie wszystkich lokali publicznych, handli, szynków o godzinie 7-ej. Również ogłoszono zakaz wychodzenia z domów od godziny 8 wieczorem bez legitymacji ad hoc wydawanej w ekspozyturze c. k. Policji. Opornych zarządzeniu — czeka prócz następstw karnych natychmiastowe aresztowanie.

Ewakuacja trwa w dalszym ciągu. Obecnie zostały doręczone wezwania do zakładu „czapczulek” w Kuźnicach i po kilka sanek dziennie zajeżdża z Kuźnic pod klimatykę. Są to formalności nadkomisarza p. Kwaśniewskiego, wykonywane nadzwyczaj sumiennie i sprawiedliwie. Jak się w ostatniej chwili dowiadujemy, wychowanki zakładu kuźniczego otrzymały gwarancję obywatelskiego komitetu.

Zielone konie. Środki ochronne, używane w czasie wojny, wkraczają często w sferę humorystyki. Podobnie jak i w innych państwach, tak i we Francji komisya asenterunkowa odrzuca konie siwe, jako zbyt widoczne w polu, jednakże tam starają się zaradzić brakowi koni w ten sposób, iż konie siwe przemalowują na kolor zielono siwy, dzięki czemu stają



Z walk w Królestwie.

Zabudowania pewnej miejscowości w Królestwie Polskiem zniszczone pociskami artylerji rosyjskiej.



Nowe francuskie pancerze ochronne
służące do ochrony żołnierzy obsługujących działą.

się one zdolnymi do służby wojskowej. W ostatnich czasach przedłożono rządowi francuskiemu cały szereg najrozmaitszego rodzaju wynalazków, mających na celu zmianę koloru sierści siwków i ostatecznie specjalna komisya przyjęła pewną farbę, którą będzie można konie siwe trwale malować na szaro. Doświadczenie to wykonano niedawno na 24 koniach, następnie zaś oddano je do służby przy armatach. — Początkowo wszystko było dobrze; konie były z daleka zupełnie niewidoczne i doskonale się spisywały. Później jednakże, gdy malowane siwki oblały się potem, puściła piękna farba szara i zmieniła swój odcień na zielony. Obecnie więc armia francuska, jedyna w świecie, posiada w swej armii zielone konie.

„G ecki ogień” w rowach strzelniczych. Wojna wskrzesiła najstarsze rodzaje broni. Pewien francuski żołnierz opowiada w „Liberte”, iż Niemcy podczas ataków na francuskie rowy strzelnicze w lesie argońskim używają broni w rodzaju „greckiego ognia”.

„Przez cały dzień — opowiada — było spokojnie i nie byliśmy przygotowani do żadnego ataku, gdy nagle w nocy oblali nas Niemcy podczas ataku jakimś płynem.

Gdyśmy spostrzegli, że to nafta, natychmiast pogasiliśmy fajki. Lecz ostrożność była bezowocną, gdyż kilka minut później obsypali nas Niemcy gradem bomb ognistych, które wzniciły w całym rowie ogień.

Nie było innej rady jak tylko rów opróżnić i cofnąć się do rowu następnego.

Podobnie, jak w Argonach posługują się Niemcy „greckim ogniem”, używają w walce nad Izerą branderów (statki płonące), które wiatr pędzi na pozycje nieprzyjacielskie, gdzie statki eksplodują i oświełają pozycje wrogów. Francuzi posługują się w obecnej wojnie lukami i strzałami, używanymi przeważnie przez lotników. Również i nóż (jatagan) Gurkasów, o których dzikości krążą nieprawdopodobne opowiadania, należy do starożytnych broni.

Bezczelność niemieckiej aktorki. Dzięki J. E. hr. M. Coudenhove, prezydentowi kraju i burmistrzowi miasta Opawy Walterowi Kadlichowi, stosunek Polaków wychodźców do miejscowej ludności był dotąd poprawnym. Opawiacy nauczyli się odróżniać prawdziwych Polaków od ich sąsiadów i ludzi wyznania cdmiennego, odnosili się do nas bardzo życzliwie, rozumieli nasze straszne położenie i uznawali w nas wiernych poddanych Monarchii. Niestety, aktorzyna, występująca w „Schützenlieder” ośmieliła się po za tekstem — omawiając wartość szulera kawiarnianego, dodać: „Ja, er ist sogar Vorsitzender der polnischen Legion”. W sprawę tę powinny wglądać władze.

Jak Niemcy plszą o Polakach. W Nr. 70. niemieckiego pisma „Bosnische Post” znajduje się artykuł opowiadający najrozmaitsze brednie o Częstochowie. Autor artykułu tego wspominając o obecnej załodze niemieckiej w Częstochowie kończy słowami: Jednemu nie chcą mieszkańcy Częstochowy dać wiary, mianowicie, że u nas (Niemców) wszy nie należą do rzeczy codziennych”.

Bez komentarzy.



Z walk na Kaukazie.

Rycina nasza przedstawia jedną z głównych arteryi komunikacyjnych t. zw. drogę wojskową gruzińską, wijącą się pośród głębokich jarów i śnieżnych szczytów Kaukazu.

Z Częstochowy. Do jakiego stopnia dochodzi śmiałość bandytów, którzy w ostatnim czasie obrali sobie teren w Częstochowie i okolicy, posłużyć może następujący fakt, który w tych dniach miał miejsce: Zamieszkały przy ulicy św. Barbary handlarz końmi niejaki Jankiel Borzykowski (izraelita) otrzymał list anonimowy, opatrzony podpisem i pieczętką „Grupa rewolucjonistów mścicieli”; w liście tym, jak przypuszczać narezało, pochodzącym od zwyczajnych bandytów, było żądanie, ażeby Borzykowski przygotował dla nich 1000 rubli w walucie rosyjskiej, i aby pieniądze w niedzielę pomiędzy godziną 11 a 12 rano nosił przy sobie w zapieczętowanej kopercie, obwiązanej czerwoną wstążką; miejsce przechadzania się bandyci wyznaczyli Borzykowskiemu na tejsze ulicy, zaznaczywszy, że o tej godzinie podejździe doń nieznanu mu mężczyzna i odbierze żadaną sumę. Gdyby Borzykowski odmówił żądaniu, to grozi mu śmierć. W oznaczonym czasie i miejscu zjawił się Borzykowski, i kiedy, oddawszy nieznanemu paczkę, zażądał od niego pokwitowania z odbioru i ów nieznanomy zaczął pokwitowanie pisać, naraz z ukrycia wybiegła przygotowana policja; bandyta, poznawszy grożące mu niebezpieczeństwo, począł uciekać, lecz dogoniono go w bramie klasztoru Jasnogórskiego, okuto w kajdany i oddano władzom. Okazało się, iż był to znany bandyta i poszukiwany, nazwiskiem Małek; zarządzono natychmiast w jego domu rewizję, a jego samego oddano pod sąd polowy, za co prawdopodobnie grozi mu kara śmierci.

Tworzenie nastrojów. Pod tym tytułem donosi „Wiedeński Kurjer polski”: „Reichspost”, organ sfer magistrackich wiedeńskich, podaje w wydaniu wieczornem z dnia 24. bm. następującą notatkę w kronice: „Z życia domowego w Królestwie Polskiem”. Podoficer pewnego pułku obrony krajowej przedstawia — wędług — „Voigtlaendischer Anzeiger” — swemu dawnemu przyjacielowi z ławy szkolnej w Plauen życie domowe w Królestwie Polskiem krótko, a barwnie w ten sposób:

Hier laust sich der Vater,
Hier laust sich das Kind,
Hier laust sich der Herr
Und auch das Gesind'.
Ich sitz' als Quartiergast
In ihrer 'Milt',
Erst sehe ich zu'
Dann lause ich mit...

„Tendencja, która kieruje tutejszą „Reichspost” przy przedruku podobnych „płodów ducha”, zohydzających nasz kraj, jest aż nadto widoczna. Dlatego wstrzymujemy się od wszelkich komentarzy.”

2830 milionów szkody w Królestwie Polskiem. Warszawski komitet statystyczny sporządził obliczenia, według których szkody w Królestwie Polskiem zrządzone w pierwszych pięciu miesiącach wojny wynoszą 2830 milionów koron.

„Staszek”.

Było to dawno, zdaje się, że już bardzo dawno... Jeszcze wtedy, gdy wieś polska odpoczywała po żniwach i z ufnością, bez trwogi patrzyła w oblicze rozpoczynającej się wojny. Widziała, jak za złotymi półkolkami kryły się pierwsze patrole kozackie, jak skroś rodzajnych półkopał najeźdnik głębokie rowy strzeleckie i bitwę wszczynał straszliwą.

Gdy pierwsze cienie zmroku otuliły wieś i ucichł

nareszcie skowyt szrapneli, zniesiono rannych do lazaretu polowego. Kapitan miał wrażenie, że już są wszyscy mimo to wysłał jeszcze jednego, nigdy nie zawoźdżącego sanitariusza — swego pieska. Psina nie chodziła nigdy napróżno, a i tym razem wrocila szczerkając głośno i ujadając. Poprzez wałowiska ciepłych jeszcze trupów, wśród stosu porzuconych karabinów i tornistrów pospieszyli żołnierze za tropem psa. Daleko od linii bojowej nad urwiskiem, na dnie którego marmotał cicho mały potoczek, leżało w kałuży krwi, okutane szmatami ciało. Nie żołnierza, ale dziecka. Był to chłopak, może ośmiu, może dziewięciu lat. Gdy go przyniesiono do lazaretu szara kurtka i obszarpane spodnie zdawały się jedynym kawałem zakrzepłej krwi, jeno w nerwowych skurczach oczu i policzków poznać można było, że żyje jeszcze. Wśród sinych, zlodowaciałych bosych nożat kłębiły się wnętrzności. Szrapnel rozerwał mu brzuch. Lekarze przedsięwzięli trudną operację, chłopak zasnął głęboko i dzień cały minął, nim się z majaków i gorączki przebudził. Zdziwionymi oczyma popatrzył na białą pościel, na czystą bieliznę.



Stefan Solecki.

— Skąd się wziąłeś na placu boju? Jak się nazywasz — Staszek mnie wołają.

— Rodzice? Zaśbym ta wiedział, gdzie są. Babka mówiła, że gdzieś aż do Hameryki pojechali. Co mu tam zresztą babka! Gdy do wsi zjechało wojsko, Staszek miejsca w chałupie nie zagrzał. Bo wojna nie wydawała mu się wcale straszną. Gdzie tam! **Wojna jest miła.** Hej, ileż to złocistych, błyszczących patronów po polach leży, a jaki ruch we wsi. Trabią samochody, turkoczą wozy z amunicją, jadą drogami takie wozy, co się na nich mięso gotuje. A piekarnie rozwijają takie namioty, niekiedyby cyrk przyjechał. Staszekowi blade śpięta z orbit wylazły. Granat moskiewski zaśpiewał mu dziłkim głosem nad głową, a potem niby jastrząb spadł nagle i zarzył się w kartoflach. Huczalo Staszekowi w uszach i dzwoniło w głowie, ale strachu nie czuł. Zbierał po rowach złociste patrony i baki zbijał, jak zawsze. A raz to języka w gębie zapomniał ze strachu i z radości. — Pan żołnierz zakrzyknął na niego, żeby poszedł i duchem wody panu żołnierzowi przyniósł. Pobiegł niby strzala, a w piersiach waliło mu młotem z uciechy, że służy przy wojnie. Nie jadł, nie spał, światła bożego nie widział, o patronach zapomniał, ino ciąglem z potoku do „szwarmlinii” wodę nosił. Aż raz go kula dosięgnęła nielitościwa, bez serca. Upadł. Słabo mu się zrobiło i ciemno w śpiątkach, aż wodę wylał. Potem mu smutno jakoś było, potem ciepło i dobrze, a potem to już nic nie wie.

Na białych poduszkach, na miękkim łóżku nikiej królewicz z bajki leży sobie teraz i cieszy się, że wstał nie niedługo, i znowu zobaczy wojnę i tyle, tyle złocistych patronów, co leżą po rowach na polu.

Dzielny Staszek! On z pewnością nie wie, że w Wie

dniu na klinice profesora Hoheneua leży jego rówieśnica Różia Zenoch z Rawy Ruskiej, która tak samo dzielnie wodę żołnierzom nosiła. Ale Różia Zenoch sławna jest w całym Wiedniu. Jeszcze panie i panowie przychodzą do niej, jakby do księżniczki jakiej. Sam cesarz przysłał jej branzolebę z brylantami, a arcyksiężna Izabella przyniosła jej cały słoik konfitur. Staszek o tem nie wie. Ale gdyby nawet wiedział, toby Rozi nie zazdrościł. Co mu po konfiturach. On woli złociste pa-trony, woli służyć przy wojnie...

Nie jeden był taki Staszek w tej wojnie, a wielu pewnie będzie. Zna ich każdy korpus, każdy pułk niemal Przygarniają ich żołnierze w zakopach, cieszą się nimi ranni w szpitalach. Jednego z nich przedstawia nasza dzisiejsza fotografia. Jest to Stefan Solecki, ze Skoretyny z Królestwa Polskiego. Ma nie więcej ponad dziesięć lat, a ranny został w krzyże szrapnelem. Obecnie znajduje się w szpitalu w Kromieryżu na Morawach.

Tellus.

JÓZEF GALUSZKA.

Po bitwie.

We wsi Moskale, — morze ognia płonie,
na ciemnym niebie świeci krwawa luna,
z dali huk armat, jak echa pioruna
leci z wichurą, co dmie po zagonie.

Języki ognia z sykiem strzechy liżą,
krokwie się łamią, snop iskier wybucha,
gnie się i płaszczy; — wściekła zawierucha
roznieca pożar swoją dłońią hyżą.

Wrzaski i śmiechy i jęki rozpaczają
w jakiś piekielny się chaos mieszają,
a w blasku ognia, jak szatanów zgrają
płaczą się carskich postacie siepaczy...

Za wsią, w kościele, co wśród cmentarzyska
od wieków w ciszy drzemał pod lipami, —
złożono rannych. — Cisza — mrok, — czasami
wieczysta lampka od ołtarza błyska.

Czasem jęk cichy od ziemi ulata,
znać, że w strzaskanej gdzieś piersi zrodzony;
tu spiekłe wargi szepczą: „Legiony
za Cię o Polsko krwią skropią pół świata.“ —

Tam głos chłopięcy imię matki woła,
echo od sklepień odrzuca je głucho...
drzwi zaskrzypiały — z śnieżną zawieruchą
wszedł Anioł Śmierci do wnętrza kościoła...

A przed ołtarzem, jakaś postać w bieli
w gasnącej lampki przeblyskach majaczy,
to Anioł polskich żołnierzy — tułaczy,
Stróż Legionów — niewoli mścicieli

Kłęcz i modły zanosi do góry,
by Bóg krew przyjął, co świątynię plam;
aby pozwolił by z Legionami
wrócił Wolności Orzeł srebrnopióry.

Tą krwią oliarną Wszepochężny Panie,
co szczerze z piersi polskich dzieci płynie
zmasz winy ojców i polskiej krainie
— daj Boże Ojczy — jasne Zmartwychwstanie. —

Znikł Anioł Polski, — jęki słycać stale;
wieczysta lampka wśród mroków skonała,
gwizdże wichura, gdzieś w dali grzmiały działa...
wrzaski — drzwi skrzypią, — w kościele Moskale.

Hof, 22. marca 1915.

JÓZEF GALUSZKA

Zmartwychpowstały pobłogosław Chryste.

Zmartwychpowstały pobłogosław Chryste,
te szare pola jeszcze niezbudzone;
błogosław nasze ziemice ojczyste
na każdą kraju lechickiego stronę!
Niech krople krwi Twej, spadłe z świętej dłoni
w nierozorane, wyniszczone role,
zrodzą kłos pełny, co się w pas pokłoni
i niechaj przy nim nie rosną kąkole.
Błogosław Chryste ugory i łąki,
aby się kwietnym kościercem przykryły;
błogosław szare w powietrzu skowronki
i te tysięczne bez krzyżów mogiły...
Błogosław Chryste nasze łąy i troski,
polskiego ludu poradłone czoła,
niech z ran Twych spłynie drogi nektar boski
na polskie miasta i na polskie sioła.
Ty wiesz o Chryste, że my jak sieroty,
powypędzane z pod ojczystej strzechy;
dziś Zmartwychwstania dzień Twój jasny,
pełen radości — nadziei — pociechy...
Ty Zmartwychwstały niesiesz pokój ziemi,
boś dla miłości umarł na Golgocie,
a świat uczyłeś słowami własnymi
za nieprzyjaciół modlić się w prostocie.
Daj pokój światu Zmartwychwstały Panie.
wstrzymaj Swą dłońią bratobójczą wojnę,
a nam o Chryste daj Zmartwychpowstanie
i życie ciche — szczęśliwe — spokojne!

Z placu bitwy.

(List legionisty.)

Wy mnie się wciąż pytacie, kiedy do Was wrócę,
kiedy, w dom rodzicielski nareszcie zawitam,
Broń krwawą w kąć odłożę, strój żołnierski zrzucę
By życie zacząć dawne? — Ja się Was pytam:
Czyście widzieli kiedy, by ptaki wracały
Do gniazd swoich z wyrajów, nim przejdą na wały.
Orkanów, wichrzyc, burz? — U Was jeszcze nie wiosna,
Ni się z uspienia życia nie zbudziło młode,
Ni świtań nie nadeszła godzina radosna,
Bym jak ptak do gnieździska, — w ojcową zagrodę
Wrócił i kij tułaczy rzuciwszy pod progi,
Przypomniał trud miniony i przebyte drogi.
Daleko jeszcze przyjdzie mnie tutaj wędrować,
I mnogie, niezliczone podejmować trudy,
Aby móc kiedyś, kiedyś swe kości pochować
Na cmentarzysku starem, w czarnoziemiu grudy,
Wśród mogił dziadów, braci — pod drzewem brzeziny,
I aby dawne snu mi się kłóciły winy. —
Wiele przed nami pracy i wielkie zadanie,
Które spełnić musimy, choćby przyszło zginąć
W walce — jak kosiarzowi na koszonym łąnie, —
Ale z tą wiarą silną, że nie może minąć
Darino nasza ofiara. Choć krwi spłynie wiele,
Ale z tej krwi przelanej wstać muszą mściciele.
Wierzę, że choć dziś mroki cały świat zasnuły,
A krzywda władzę dźrzyży, — jednak prysnąć muszą
Kajdany tej przemocy, co nam życie skuli
Hańbą, rozpoczają, smutkiem i bólów katuszą.
Wierzę, że się nam trudów ziści cel mozolny,
I że na wolnej ziemi wstanie człowiek wolny!
Marzec 1915.

R. B.

Królewiec i Grunwald

opowiadanie historyczne

8)

przez

Feliksa S...

Obok tego istotnym powołaniem Krzyżaków było nawracanie Litwy na chrystyanizm, nie zaś jej zawojuowanie; a całemu światu było wiadome, że tego posłannictwa religijnego dopęłnili już król i królowa polscy, a oraz naród, nad którym panowali. W cóżby się zatem zamienilo posiadanie tego kraju, w przypadku, gdyby Zakon pobili go mieczem i włócznią? Byłoby to tylko proste i zbójckie zagrabienie tego, co nigdy doń nie mogło należeć. Tymczasem traktat, zawarty z Witoldem dnia 30. stycznia 1384 roku dostarczał Zakonowi prawnej podstawy do utrzymania się przy tem władztwie.

Ale synowie Witolda byłiby przeszkodą do osiągnięcia skutków powyższego układu; cóż więc mogło wstrzymać Krzyżaków od usunięcia tej przeszkody? Skrupuły sumienia mistrza, lub kapituły? Bynajmniej. Przewielebny Zakon nie znał ich nigdy, nie znał ich w sprawach mniejszej wagi, a tem mocniej w kwestyi najważniejszej ze wszystkich. Sumienie Zakonu nie było wcale lęklive, i niewinne dzieci Witolda padły ofiarą spokojnej rachuby politycznej, której Sonnenberg był tylko przymuszonym wykonawcą.

Ale dlaczego później wielki książę Witold, zostając przez tak długo w przyjaznych stosunkach z mistrzami Zakonu, Konradem Jungingien, nie dopominał się nigdy o karę na zbrodniarzy, którzy jego synów zamordowali, dlaczego tenżesam Konrad, człowiek uczciwy, nie ukarał ich z własnego swego natchnienia? Dlatego, że ani jeden, ani drugi nie podejrzewali zbrodni i przypisywali zgon biednych dzieci naturalnej przyczynie.

IX.

W takim przekonaniu zostawał wielki książę do czasu śmierci Konrada von Jungingien, lecz na trzy miesiące przed tym wypadkiem, przed księdzem biskupem wileńskim stanął zamożny niegdys, lecz zrujnowany przez napady krzyżackie Litwin, nazwiskiem Birmund. Zapytany przez biskupa o powód, dlaczego żądał tajemnego u niego posłuchania, złożył bardzo długą relację, którą tu w treści przytaczam. W roku 1388, w jakiejś potyczce, Birmund wzięty był przez Krzyżaków do niewoli i dostał się do Królewca, gdzie wkrótce potem i małych książąt, synów Witoldowych umieszczono jako zakładników przy marszałku zakonnym Engelhardzie Rabe. Ponieważ Birmund był już chrześcijaninem, a oprócz tego stary marszałek poznał go osobiście, a zatem na jego rozkaz przeszedł z wieży więziennej na dozorcę przy małych książętach. Była to prawdziwa druga niewola, lecz Birmund, pełen przywiązania dla rodu Kiejstuta, błogosławił chwilę, w której umieszczono go przy jego wnukach. Przytem wrodzona słodycz i dobroć tych dzieci zyskiwała im serca wszystkich, którzy je przez ciekawość odwiedzali. Wyjątek pod tym względem stanowił tylko jeden Krzyżak, Markward Salzbach; ale ten bywał tylko gościem w Królewcu. Birmund zauważył, że ten komtur nie przemówił nigdy do nich tem uprzejmem słowem, które każdy choćby nawet zimnego serca, człowiek, znajduje zawsze dla sierot pozbawionych matczyńskiej opieki. Salzbach po to jedynie zdawał się zaglądać do ich po-

kojów, izby się przekonać, czy dobrze byli pilnowani. Lecz w roku 1392 drugi komtur Andrzej Sonnenberg, zbiegły z niewoli od wielkiego księcia, przybył także do Królewca, i jak tylko ukazał się w apartamencie książąt, obadwaj natychmiast klasnęły w dłonie i rzucili się z radością ku niemu.

— Komtur, — mówił Birmund, — obejrzał się dookoła, jak gdyby przez ostrożność, i zapewniwszy się, że ja sam jestem w komnacie, uściskał ich czule i z zadziwiającą w Krzyżaku dobrocią.

W kilka tygodni potem pod jego szczególną opieką oddane zostały biedne dzieci. Przyznam się wam nawet, najprzewielebniejszy ojcie, że sam się w prostocie ducha serdecznie z tego rozporządzenia ucieszył. Książęta powiedzieli mi, że Sonnenberg przebywał stale przy dworze naszego pana i wielkiego księcia w Ritterswerder. Co się mnie samego dotyczy, muszę powiedzieć, że nie tylko utrzymał mnie przy mojem skromnym stanowisku, ale mi zawsze swoją uprzejmość okazywał. Zresztą był on grzecznym dla wszystkich, którzy małych książąt odwiedzali: raz tylko, pamiętam, odstąpił od tego prawidła, kiedy się u nich pokazał komtur Salzbach: albowiem przyjął go zimno, sucho a nawet niechętnie, jak gdyby mu chciał dać do poznania, że jego odwiedziny były niepotrzebne. Odtąd też Salzbach nie pokazywał się u nas wcale.

Osieroczone dzieci przywiązywały się coraz bardziej do Sonnenberga; on zaś ze swej strony starał się uprzedzać ich życzenia; i w taki sposób ciągnęły się rzeczy przez kilka miesięcy. Aliści pewnego dnia, na wiosnę r. 1393, Sonnenberg wszedł do nas błady, drżący, zmieniony tak, że przestraszył mnie ogarnął, kiedy nań spojrział. Nie widzieliśmy go przez dni trzy i pomyślałem sobie, że w tym przeciągu czasu, musiało go spotkać jakieś wielkie nieszczęście. Sonnenberg przynosił codzień biednym dzieciom rozmaite przysmaki i podług swego zwyczaju i w owym dniu fatalnym ofiarował im kilka pomarańcz na cukrze smażonych, które małe książęta bardzo lubili. Tym razem wszelako nie siedział z nimi wcale i śpiesznie wyszedł.

W godzinę potem naprzód książę Jerzy a potem książę Jan zaczęli się gwałtownie uskarżać na młodości i niezmiernie bóle w żołądku. Pobiegłem co prędzej po doktora zamkowego, ale go nie było w domu: zaszedłem następnie do Sonnenberga, chcąc mu donieść o tem, co zaszło, ale go także nie zastałem: temczasem choroba pogorszała się z każdą chwilą. We dwie godziny zaświe doczekałam się nadejścia doktora. Pokładałem w nim ufność, jako w człowieku spokojnym i dobrym: przytem, był to lekarz umiejętny, który nie jednego chorego uzdrowił.

Nie masz żadnej wątpliwości — rzekł on do mnie z przerażeniem, po opatrzeniu chorych — że te biedne dzieci są już w konwulsjach... Pomyślećby można, że zostały otrute... chociaż... straszne to przypuszczenie. Cóż one jadły? Ukazałem mu w milczeniu dwie pomarańcze, które jeszcze leżały na talerzu. Dwie drugie zjedli mali książęta.

Doktor, dawszy chorym lekarstwo, zabrał z sobą pomarańcze i poszedł do swojego mieszkania; lecz w pół godziny stamtąd wrócił i oznajmił mi z przestraszeniem, że te owoce były zatrute...

— Jak to? — przerwał biskup Birmundowi. — Więc Sonnenberg miał być mordercą młodych książąt?

— Tak jest, najprzewielebniejszy książę biskupie! — To być nie może!

— Czyżbym ja — odrzekł Birmund — ja, nędzny proch, poważyl się kłamać, przed świętym pasterzem naszej Litwy?

— Czy tylko nie mylisz, się, mój synu...

— Przyzywam Boga, którego pragnę oglądać przy skonaniu, na świadka prawdy słów moich.

— Mój synu! — odezwał się sędziwy biskup: — Sonnenberg nie miał najmniejszego powodu do tak strasznej zbrodni! Trzeba ci wiedzieć, że on-to dopomógł wielkiemu księciu panu naszemu, do oderwania się od bezbożnego Zakonu, że najuroczystsza przysięga, jaką tylko chrześcijanin złożyć może, zobowiązał się być mu wiernym do śmierci i wydobyć młodych książąt z zakładu krzyżackiego i wrócić ojcu. Wdzięczność i hojność wielkiego księcia zapewniała mu nagrodę, na jaką chciwy Zakon nigdy się nie zdobył. Prócz tych światowych pobudek, mogę jeszcze dodać, że charakter tego człowieka był wolnym od srogości i okrucieństwa. Dlatego nawet lubiono go na dworze wielkiego księcia...

— A jednak on-to pozbawił życia nieszczęśliwe dziecko... i nikt we mnie tego przekonania nie zmieni! — odrzekł Birmund.

— Ale, cóż dalej? — zapytał biskup.

— Wszystkie starania doktora były daremne i nim słońce zaszło, dwie niewinne dusze uleciały do nieba!...

Z temi słowy Birmund pochylił smutnie głowę. Pamięć uobecniała mu żywo obraz okropny, którego był naocznym świadkiem. Nakoniec, przerwawszy milczenie, mówił dalej:

— Nie mogłem nigdy wypowiedzieć waszej przewielebności tego, co się ze mną podówczas działo, kiedym klęczał u łóżka księcia Jerzego, który o pół godziny przeżył swojego starszego brata. Wyciągnął do mnie rączki, ale nie mógł już mówić. Wtedy-to bezbożny Sonnenberg, trapiiony już zapewne ciężką zgrozotą, wszedł do komnaty, staniając się i bladej jak trup. Widmo potępieńca nie przeraziłoby mnie więcej, niż jego niespodziane zjawienie się... Słyszałem nieraz, że ofiary morderstwa mają tajemną moc pociągania ku sobie zabójcy. Spojrzał na umarłego już, potem na umierającego i wybiegł z komnaty, jak obłąkany, spostrzegłszy, że biedna dziecina, w bólach konania i ku niemu także swą rączkę podniosła. Nie miałem nawet tej pociechy, iżby się pomodlił na ich grobie; bo zaświecając ciemność nocy zstąpił na ziemię, dwóch wityngów*) uzbrojonych od stóp do głów, zabrało mnie z sobą. Na dziedzińcu zamkowym czekało kilku innych; kazano mi siąść na konia. Zbrojni wzięli mnie między siebie, i ruszyliśmy cwałem do Królewca. Tyle się tylko od nich dowiedziałem, że oddano mnie pod sąd za otrucie synów księcia Witolda.

— Poczekaj, mój synu! — przerwał znów biskup.

— Przypominam sobie, że lubo stosunki jego książęcej mości z Zakonem były podówczas zerwane, mimo to wielki mistrz Wallenrod kazał doń napisać, że mali książęta, jego synowie, umarli z zaraźliwej choroby, która wtedy między dziećmi w Królewcu panowała. Pamiętam nawet, że wielki książę odebrał także tajemne zawiadomienie od Sonnenberga, który, potwierdzając tę relację, donosił zarazem, że sam jest mocno podejrzany i ściśle strzeżony, i że mu odjęto wszelką możność wydalania z Królewca, a tem samem i przebrania się na Litwę. Wielki książę, znając podejrzliwość Krzyżaków, uwierzył z łatwością temu donie-

sieniu; pokazuje się jednak, że wszystko było fałszem. Nie rozumiem tylko, co mogło p. badzić Sonnenberga do tak straszego morderstwa, kiedy przedtem tyle przyjaźni biednym dzieciom i tyle życzliwości, co ojcu okazywał? Musi być w tem wszystkim jakaś tajemnica.

— i ja tak myślę, przewielebny książę biskupie.

— Powiedzże mi teraz, mój synu, czego żądaś odemnie? — zapytał biskup.

Życzylbym sobie, iżby wasza przewielebność raczyła przedstawić jego książęcej mości treść mego doniesienia, które w każdej chwili gotów jestem stwierdzić przysięgą.

— Pojmuję twoją myśl — odrzekł biskup. — Nie możesz znieść obwinienia, które na ciebie wrogowie rzucili; chociaż mu nie zgola o niem nie wiem. Pragniesz jako szlachcic i rycerz litewski odczuć się z twarzą. Ale dlaczego tak późno o popełnionej zbrodni donosisz? Piętnaście lat od śmierci nieszczęśliwych książąt upłynęło. Dlaczego milczałeś tak długo?

— Najprzewielebniejszy panie! Przez trzy lata bez sądu, który mi nieraz zapowiadano, przeżywałem mnie w więzieniach kommandoryi Markwarda Salzbach, a następnie...

— Markwarda Salzbach? — powtórzył biskup.

Tak jest: a następnie tenże komtur wyprawił mnie w głąb Niemiec do drugiego komtura Reicharda von Eisenherz, który przez lat 11 trzymał mnie w swoim więzieniu, pod najściślejszą strażą; ale i tam mnie nie sądzono. Uszedłem nareszcie stamtąd, dzięki Opatrzności która nademną czuwała. Po latach czernastu ciężkiej niewoli odzyskałem wolność i podążyłem w rodzinne strony, o żebranych chlebie.

— Więc to Markward Salzbach kazał cię uwięzić? — ponowił biskup. — Twoje żądanie zostanie spełnionem. Opowiem wielkiemu księciu naszą rozmowę. Przyjdź do mnie jutro. Ale czy nie masz jeszcze czego dodać?

— Przypominam sobie, przewielebny pasterzu, że na kilka dni przed śmiercią młodych książąt, z okien ich pokojów, wychodzących na mały, ustronny dziedziniec, widziałem, Sonnenberga, Salzbacha i jeszcze trzeciego komtura, jak rozmawiali z sobą. Wiedząc, że pierwszy z nich nie lubił wcale drugiego, zdziwiłem się temu zbliżeniu; ale wkrótce ujrzałem Sonnenberga w gwałtownym uniesieniu. Krew biła mu do głowy i w przystępie gniewu uchwycił nawet za szyję. O czem jednak mówili, nie mogłem się domyślić. W chwilę potem zniknęli mi z oczu.

Biskup zamyslił się, lecz wkrótce rzekł znów:

— Przyjdźże do mnie jutro, panie Birmund, o tej samej godzinie.

Nazajutrz Birmund dowiedział się tylko od biskupa, iż ważną usługę wyświadczyłby wielkiemu księciu, gdyby mógł wykręcić współników zbrodni Sonnenberga. Kłamstwo krzyżackie było oczywiste i morderstwo nie ulegało wątpliwości; bo i dla czegoż pisali do Witolda o śmierci naturalnej jego dzieci, gdy tymczasem straszili Birmunda karą za otrucie? Chcieli oczywiście zostawić tego ostatniego w tem przekonaniu, że i wielki książę upewniony został o jego mniemanej zbrodni: że tem samem on, Birmund, gdyby nawet wydobył się z więzienia, to z obawy najsroższej kary nie mógłby się pokazać na Litwie.

(D. c. n.)

*) Wityngi — byli to najwycwiczeńsi żołnierze Zakonu.

(13) **Męczennica.**

(Powieść oryginalna).

— Czego pan sobie życzy odemnie? — pytała Marya zmięszana i szła coraz prędzej, by ująć przed natarstwem nieznanego człowieka.

— Życzę sobie, aby panna miała wzgląd na własne piersi i nie biegła tak szybko, bo to można z tego zchorować. Niech panna wierzy doświadczonemu człowiekowi, co nie z jednego pieca chleb jadł i nie od dzisiaj żyje na świecie.

— A dla czegoż pan za mną tak biegniesz?

— Bo chcia!bym oddać mały liścik pannie od bardzo ładnego panicza.

Maryja stanęła zmięszana. Płoniła się, jak róża i głośno biło jej serce.

— List do mnie? — spytała spuszczać oczy do ziemi. Ja od nikogo nie odbieram listów!

— Od nikogo? Nie mogę temu dać wiary! Gadaj panna takie rzeczy innemu, a nie mnie świekowi. Mam liścik, mam i oddam go panience.

— A od kogo list ten? — spytała Maryja nieśmiało i mimowoli wyciągnęła rękę.

Kukiewicz uśmiechnął się zadowolony, wsunął swą wielką łapę w zanadrze, wydobyl w kopertę zawinięty opieczetowany autograf i oddał Maryi do ręki.

Maryja wahała się chwilę, potem rozłamała z gorączkowym pospiechem pieczętkę i rozwinęła w środku zgjęty i do połowy, na wzór urzędowego dokumentu zapisany arkusz papieru.

Papier wypadł jej z ręki. List nie był pisany ręką Artura.

— To obca jakaś ręka! Myślałam, że to od niego! — powiedziała do siebie półgłosem.

— Ma się rozumieć, że to od niego! — odpowiedział, frasunkiem Maryi uradowany Kukiewicz.

— Od kogo, mój panie?

— Od tego, od którego się już pierwszej odbierało listy.

— Od Artura?

— A tak, tak, od tego Artura!

— To być nie może, pan mnie tylko zwodzisz!

— Cóżby mi z tego przyszło, zwodzić taką ładną pannę? Niechże panna sama powie! Cóż to, czy niema już ludzi poczciwych na świecie, co by chętnie pomagali bliźniom? Panno! nie trzeba tak źle sądzić o ludziach. Jak honor kocham, ten list jest od niego!

— Nie znam tej ręki, która to pisała.

— Czy może brzydko pisane? A ten kogo sobie panna myśli, pisać listu nie mógł, bo leży śmiertelnie chory...

— Boże! Cóż mu takiego?

— Ot, ma gorączkę, fantazyjuje, dają mu wodę z cukrem do picia, stoi kolo niego czterech doktorów, już trzy razy biegł lokaj do apteki.

— Ja nieszczęśliwa! On umrze!

— Ale gdzie tam! Coby tam miał umierać! Pomrzemy wszyscy, ale nie tak prędko. Na niego jeszcze poczeka. Odchoruje swoich kilka dni chłopczyśko, ale mu to nie zaszkodzi. Mówił mi jeden konsyliarż, że za trzy dni wstanie z łóżka. Niech się panna nie frasuje o niego i niech list przeczyta. Posłał to jego sekretarz, którego ja sam znam osobiście, bardzo sumienny, ludzki i poczciwy człowiek i mogę go każdego polecić. Żyję z nim w bardzo dobrej przyjaźni. Przy okazji i o tem pomówimy.

Maryja nie słuchała dalszej dysputy listonosza, gdyż była zajęta czytaniem.

Raził ją nieprzyjemnie ton listu. Zdumiewało ją co tam wyczytała. Rumieniła się i bladeła.

— Jak on dziwnie mówił — wykrzyknęła przejęta uczuciem niezrozumiałej obawy. — On się chce żenić ze mną. On mi ofiaruje swoją rękę! — powiedziała wstrząsając z niedowierzaniem głową.

— I cóż w tem dziwnego? — podchwycił Kukiewicz. — A czy to po raz pierwszy ożeniłby się taki pan z biedną dziewczyną? A ileż to mamy panów, co się pożenili z dziewczętami co szyły bieliznę! A cóż w tem dziwnego, jeśli się bogaty pan w biednej dziewczynie zakocha, jeśli ta dziewczyna ma urodę po temu. Że się ten paniczek w pannie kocha, to taka prawda, jak że słońce świeci! Ot, biedaczysko w łóżku leży z miłości i zgrzyoty i trzęsą mu się ręce, że nie może w nich pióra utrzymać i musiał sekretarz za niego ten list napisać, a na mnie przypadło oddać go gdzie należy! Ale bo też i panna ładna, młoda, biała, krew i mleko, w sam raz dla takiego panicza! Jak honor kocham! dobrana będzie z was para.

Maryja spuściła skromnie oczy.

— Pan go znasz? — odważyła się zapytać cichym głosem.

— Ba, jeszczeby nie! od maleńkiego dziecka! ledwie na świat przyszedł, ja go piastowałam na rękach jak własnego syna i dotąd go mam nie za co niego! przy mnie się prawie wychował. Dobre, złote serce! jaki zuch! drugiego takiego nie znajdzie!

— Jak młoda! on także taki młody, ma rodziców, stoi pod ich nadzorem.

— Co tam rodzice! rodzice tak długo dbają o dziecko jak długo je mają pod okiem. Co z pod oka to i z głowy. Mnie ojciec nie spytał, kiedy na świat wychodził! Barnabo, a co ty będziesz robił? A co komu do tego? On podrośnie, podrośnie! To jest pan, wielki pan i co mu kto zrobi!

— Ach, panie! powiem otwarcie jak było, przyznam się do wszystkiego. Nie mam nikogo, jestem sierota. Żyję przy starej kiotce, dobra kobieta, kocha mnie, ale je jbym się nie mogła zwierzyć. Pan go znasz, jesteś jego przyjacielem, on się prawie przy panu wychował!!

— Jak honor kocham tak było! prawie przy mnie!

— Pan go kochasz.

— Jak honor kocham tak prawda! jakby mego syna!

— Wiedźże pan teraz, że ja od niego odebrałam już pierwszej dwa listy.

— Ale ja już wiem o tem.

— Nie wiesz pan co pisał?

— A cóżby miał pisać! pisał że kocha!

— Prawda, to samo! więc pan wiesz o tem?

— On mi sam wszystko powiedział. Jeżeli komu to mnie niechybnie. Przyszedł do mnie, pogłaskał po głowie, wziął za rękę i mówił: mój ty Barnabo, żebyś wiedział jak ja ją kocham! żebyś wiedział jaka ona ładna! Ja mu na to odpowiedziałem: gdyby była brzydka, toby ją pewnie pan hrabia nie kochał! A on mi znowu na to: ja już do niej pisałam, ona mi nie odpowiadała! nie mogę sobie dać rady, nie mogę znaleźć miejsca dla siebie, nie mam spokoju! ja się z nią ożenię! A ja mu znowu na to: a niechże pan hrabia z nią się ożeni, albo to pan hrabia nie może? A on potem położył się do łóżka, zawołał sekretarza, kazał ten list napisać, mnie zawołał i powiedział: mój Barnabo, będziesz widział, że ja będę pamiętał o tobie, jeśli ten list do niej zanięszesz, zobaczysz, że ci się dobrze odwzięczę! Cóż było robić.

(D. c. n.).